



15

(Ciąg dalszy).

POWIEŚĆ.

Pomimo nadzwyczajnej oszczędności, szczupły zapas pieniędzy wyczerpał się niezmiernie szybko. Pewnego dnia ślepa wydała ostatnie grosze, jakie ukrywała w skórzanym woreczku. Przywołała więc Sabinkę i Zosię i przytuliwszy obie do łona, opowiedziała cichym głosem, w jak strasznym znajdują się położeniu.

Niema rady, moje najukochańsze — szeptała — musicie prosić o jałmużnę, inaczej bowiem zginiemy z głodu.

Oczy Sabinki zaszyły chmurą, a bezgraniczny smutek zasepił wzrok Zosi. Oddawna wyczekiwały na to wyznanie babki, pojmowały bowiem dobrze, pomimo swego wieku, grozę okropnej sytuacji, zapowiadającej rychłą katastrofę. Utrata ojca i matki, potem szereg upokorzeń i przykrości, niemal nieustannych, rozbudziły w ich dziecinnych umysłach przedwczesną dojrzałość.

Sabinka zmarszczyła brwi, lecz odpowiedziała niemal spokojnie:

— Jeśli trzeba koniecznie, będziemy żebrać, babciu.

— I biegać za przechodniami... i ręce wyciągać... — rzekła Zosia, schylając główkę na piersi. Ach, gdybyśmy byli większe i gdybyśmy umiały pracować... niczego ci babuniu, nie brakło!

Z pod przymkniętych powiek dziewczęcia, potoczyły się gęste łzy po twarzyczce.

Babka widzieć ich nie mogła, lecz je odczuła w głębi serca. Bolesne łkanie rozdarło jej piersi. Wnuczki ukłękły na podłodze, tuż przy nogach staruszki, a ona główki ich oparte na swych kolanach, głaskała chudymi rękami. Wszystkie trzy milczały, nie więcej bowiem nie miały sobie do powiedzenia. Nazajutrz, o świcie, obie dziewczynki wyszły razem z domu.

Okryte wyszarzanymi żałobnymi sukienkami, w starych, przerobionych z salopki Klary kaftanach, nie chroniących ich dostatecznie od mrozu, trzęsąc się z zimna, błąkały się dzień cały po Warszawie, której żadna dobrze nie знаła. Wieczorem dopiero, zmęczone i głodne, powróciły do mieszkania, nie uzbrawszy ani grosza.

— Żebrać więcej nie będę — rzekła Sabinka stanowczo — wolę umrzeć.

— Ja także umrzeć wolę — powiedziała Zosia. Wiesz co babciu, odbierzmy sobie życie razem... równocześnie...

— Nie!... Samobójstwa nie popełnię i wam go popełnić nie pozwolę! — zawołała ślepa. Samobójstwo, moje dzieci, to ciężki grzech, którego Bóg nigdy nie przebacza. Doświadczenia najsrozsze, jakie na nas zsyła, znieść musimy z poddaniem się jego woli świętej.

— Ale ja nie chcę żebrać — odparła Sabinka.

— Więc ja sama jedna za ciebie żebrać pójdę, rzekła Zosia głosem, pełnym słodyczy. Dla ciebie siostrzyczko i dla babci uczyniłamby wszystko, czego byście odemnie zażądały... zatem dla was wyciągać będę rękę o jałmużnę, chociaż się wstydzę... i nie umiem...

Wybiegła z domu — i nie zastanawiając się, w którą stronę kroki zwrócić należy, przeszła bezwiednie ulicę Freta, Stare miasto, Św. Jana i Plac zamkowy, nie ośmieliwszy się ani razu zaczepić którego z przechodniów błaganiem o pomoc i wsparcie. Tak idąc, znalazła się po niejakim czasie na śniegu pokrytym wirydarzu na Krakowskim-Przedmieściu. Tam, znużona i z sił wyczerpana, usiadła na jednej z ławek.

Godziny upływają, a Zosia nie rusza się z miejsca. Siedzi, we łzach pogrążona, prawie nieprzytomna i co chwila drżemąca.

Noc rozpostarła swoją ciemną oponę nad miastem. Na ulicach pusto. Nawet stójkowi kryją się przed mroźnym, przejmującym wiatrem, wiejącym od Wisły. Otuleni w kożuchy i płaszcze, wsuwają się w framugi i zagłębienia drzwi i bram kamiennych.

Dziewczynka usnęła — ale budzi się niespodzianie. Chce powstać, lecz nogi odmawiają posłuszeństwa, upada więc znowu na ławkę. Nie wie, gdzie jest i co się z nią dzieje. Nagle ogarnia ją strasza trwoga. Drobnymi rączkami ściga ciasny kaftanik na gorejące wewnętrzny ogniem piersi. Powtarza sobie po cichu: „Żebrać trzeba, żebrać muszę!“ Goni wzrokiem w prawo i w lewo, czy nie dojrzy jakiego przechodnia, lecz nie spostrzega nikogo. Wiatr tymczasem dmie coraz silniej i mrozi ciało dziecka do kości, które, walcząc z brakiem sił, zsuwa się nareszcie z ławki i kłęka na śniegu, wyciągając w górę ramiona.

— Boże, mój Boże! — modli się — miej litość nademną, nie daj skonać w oddaleniu od babci i Sabinki... Wyratuj, bo ginę!

Ledwie wyszeptała powyższe wyrazy, rozległo się skrzypienie spieszących się kroków.

Ksiądz, liczyć mogący około lat pięćdziesięciu, zbliża się do niej i pochyla nad kłęzącą. Podnosi dziewczynkę ostrożnie i przygląda się jej badawczo, lecz z widocznym współczuciem.

— Umierasz dziecko z głodu? Wszak tak? — pyta miłym głosem.

Lecz Zosia nie śmie, czy nie umie odpowiedzieć.

Wtedy kapłan podaje jej rękę i chce prowadzić, lecz dziewczynka, co chwila omdlewająca, na nogach utrzymać się nie może. Ślizga się, chwije i pada. Ksiądz schyla się, bierze ją na ręce, osłania połą swego długiego, futrem podbitego płaszcza i niesie ku Nowemu-Światu. Potem zbacza na lewo na Smolną i zatrzymuje się przed wspaniałym, rzeźbiarsko oświetlonym pałacem. Dzwoni, a gdy wygalonowany szwajcar bramę wjazdową otworzył, przesuwa się z ciężarem, który dźwiga w ramionach, przez obszerne podwórze, wypełnione karettami i wchodzi do olbrzymiego przedpokoju, przyozdobionego kłębami egzotycznych roślin, cennymi rzeźbami i starożytnymi makatami i gobelinami, zwieszającymi się od stropu ku posadzce. Służba wita go ukłonami, pełnymi szacunku, a on wstępuje na marmurowe schody, prowadzące na pierwsze piętro. Tu, otwierając drzwi do kaplicy pałacowej i składa dziecko — odzyskujące nieco przytomność, lecz ciągle jeszcze milczące — na puszystym kobiercu, pokrywającym stopnie ołtarza.

— Odpocznij tu sobie — szepnął słodkim tonem.

Poczem zbliża się do ściany z dzwonkiem elektrycznym i naciska guzik, tkwiący w obramieniu brązowym. Po chwili wchodzi służący.

— Macie widocznie gości na dole — rzecze — więc i wieczera być musi. Przynieś tu czempredę gorącego bulionu, kawałek mięsa... jakie jest... i butelkę starego wina... A księżnej pani proszę powiedzieć, że na nią czekam...

W kilka minut potem, słysząc turkot, wyjeżdżających z pałacu powozów i księżna ukazuje się w drzwiach kaplicy.

— Ty, mój drogi?... o tej porze? co to znaczy? — pyta zdziwiona.

Ksiądz Jan Maryan hrabia Wielogrodzki, starszy o lat parę, brat księżnej Sieńskiej, wdowy po księciu Sieńskim, byłym dyrektorem byłej Komisji Skarbu, pochylił się nad dziewczynką i zapytania nie słyszy.

Na pierwszy rzut oka uderza nadzwyczajne podobieństwo brata z siostrą. Oboje mają takie same smutne i marzące oczy, też same rodzinne rysy twarzy i głos dźwięczny, pełen dziwnej słodyczy. Kto ich zna bliżej, wie, że podobieństwo moralne jest jeszcze większe. Łączą ich zgodne pojęcia i przekonania. Dobroć i szlachetność w jednym stopniu maluje się na obliczu brata i siostry. Jedno przed drugim nigdy z niczem się nie kryje. Zdają się żyć temi samymi uczuciami i myślami.

— Ty tutaj? — powtarza księżna. — Co cię o tak spóźnionej godzinie do mnie sprowadza?

— Zdaje mi się, że ci przyniosłem szczęście — rzekł kapłan, wskazując na dziecko, spoczywające na stopniach ołtarza.

Teraz dopiero Amelia spostrzegła dziewczynkę.

— Ach, mój Boże! — zawołała. — Skąd ją wzięłeś?

— Znalazłem umierającą z głodu i chłodu, na wirydarzu, naprzeciw domu Towarzystwa Dobroczynności...

— O, biedactwo!... biedactwo!

I to mówiąc, księżna siada przy Zosi.

Lampka, paląca się przed ołtarzem Matki Boskiej, rzuca na twarzyczkę dziewczątka światło różowe.

Jaka śliczna!... lecz straszliwie blada... Może to złudzenie wzroku... a może tylko ma tak dziwnie białą cerę, wydającą się jeszcze bielszą przy czarnej sukience. To mówiąc przyciska usta do zimnego czoła dziecka. Zmarznięta... i głodna, powiadasz? Ależ jeść jej dać trzeba... natychmiast!

Jakby na zawołanie wchodzi lokaj, niosący na tacy wieczerę.

— Postaw tu, na stopniach... i odejdz — rzecze księżna.

Wlewa łyżeczkę po łyżeczce bulionu w usta dziewczynki, studząc go naprzód nieco dmuchaniem. Potem kraje drobne kawałki kurczęcia i karmi nimi małą, nie zdającą sobie sprawy, co się z nią dzieje, gdzie jest i kto ją otacza życzliwymi staraniami.

— Życie dziewczęcia — mówi ksiądz Wielogrodzki, patrząc na Zosię — musi być jakimś strasznym dramatem. Bogu Najwyższemu składam dzięki, że mnie postawił na jej drodze. Coby się stało z tym drobiazgiem, gdybym go nie spotkał!

Tymczasem Zosia jeść przestała. Delikatnie, ale stanowczo odsuwa rękę, podającą jej pokarmy. Dziwny jakiś ogień płonie w oczach dziecka. Duże źrenice błyszczą, jak dwa żarzące się węgliki. Twarzyczka, przed chwilą zsiniała i blada, oblewa się szkarłatnym rumieńcem. Równocześnie gwałtowny, a suchy kaszel wstrząsa jej piersiami. Milczy jednak... Nie uskarża się, jakby wciąż jeszcze nieprzytomna, jakby pozbawiona wszelkiej świadomości i pojęcia doznawanych wrażeń.

— To dziecko jest chore! — zawołał kapłan, który baczną uwagę zwracał ciągle na dziewczynkę. Trzeba je czempredę do łóżka położyć i ciepło okryć. Jutro, jak odzyska zmysły i mowę, dowiemy się przy kim i gdzie mieszka, a ja odprowadzę je rodzicom lub krewnym.

Przeniesiono Zosię do sąsiedniego pokoju i położono w wygodnym, ogrzanym łóżku. W nocy wywiązała się silna gorączka, połączona z groźnym zapaleniem płuc.

Miesiąc blisko biedne dziecko walczyło ze śmiercią. Księżna i jej brat otaczali je niemal rodzicielskimi staraniami, czuwając na przemian przy łóżku chorej. Lecz tak on, jak ona — nawet, gdy odzyskiwała na chwilę przytomność — nie śmieli jej o nic pytać, lekarz bowiem zalecił bezwzględny spokój i unikanie wszelkich wzmianek o troskach i cierpieniach przez dziecko doznanych. Dziewczynka przychodziła do siebie... lecz powoli. Umysł jej nie rozjaśniał się od razu. Jakaś siła, pozbawiająca ją zupełnie pamięci, pogrążała skołatana niedolą duszyczkę w bezmyślne uśpienie. Osłabiona chorobą, oraz poprzedzającą ją niedostatecznym odżywianiem się, wyczerpana fizycznie i moralnie, Zosia zapomniiała o babce i Sabine. Nie mówiła o nich nigdy.

— O! jakżebym pragnęła, by pozostała u mnie na zawsze — mówiła nieraz księżna do księdza Wielogrodzkiego. Nazwałabym się najszczęśliwszą,